

## Empireum na Elektoralnej

„Czy to ja znalazłem wreszcie jakiś klucz do prozy Wojciecha Chmielewskiego, czy to on w po raz pierwszy odsłonił się trochę bardziej, wskazał najistotniejszą składową jego opisywania świata?”. Recenzją Wojciecha Stanisławskiego rozpoczynamy nowy cykl pt. „Czytelnia publiczna”, który będzie ukazywał się co dwa tygodnie.

Autorski wybór opowiadań to zwykle rodzaj deklaracji pisarskiej; w przypadku „Obcego diabła” wybór (i świetne posłowie do tomu) są autorstwa Jakuba Beczka, wolno jednak założyć, że Wojciech Chmielewski dał co najmniej swoje placet na zestawienie tych 31 – zwykle kilkustronicowych, czasem jeszcze krótszych – opowiadań. Sześć tomów, najstarsze z nich („Biały bokser” z 2006 i o dwa lata późniejsza „Brzytwa”) dostępne były już tylko w antykwariatach; tym lepiej, że wracają, choć zabrakło czemuś bardzo bliskiego mi tomiku („Belweder gryzie w rękę”) z roku 2017.

Wracają – niektóre jakby czytane po raz pierwszy, inne rozpoznawalne natychmiast, budzące na twarzy czytelnika porozumiewawczy uśmiech: no tak, wakacje w Chorwacji, rondo ONZ, bazaltowa kostka Chłodnej. Dobrze dorobić się wiernych odbiorców i rozpoznawalnej frazy; pytanie, czy nigdy nie staje się ona więzieniem? Ci z frazą najbardziej rozpoznawalną jako pierwsi padają ofiarą szyderczych parodystów albo czytelników tak rozmiłowanych w rytmie autora, że kiedy sami usiłują coś zapisać, okazuje się, że nie potrafią już inaczej. W latach 80. połowa

debiutantów pisała Herbertem, do dziś niejeden niedzielny poeta sieka wersy niczym w „Strunie światła”. Ciekawe, kiedy w prozie polskiej pojawi się naśladowanie Chmielewskiego, tych litanii scen i wydarzeń, które nie usiłują budować dodatkowych znaczeń ani wtajemniczeń, nie generują napięcia, po prostu: są. „Przystanek Hala Mirowska. Bardzo ją lubię. Od dziecka tu na zakupach z matką. (...) U wlotu Elektoralskiej niewiele się dzieje. W podcieniach socrealistycznego kłosa był sklep z butami, co jest teraz, nie widzę, za daleko”.

Te wyliczanki są na pozór tak proste, że aż trzeba spróbować napisać własną, by przekonać się, jak łatwo podobny spis staje się zapisem logorei, sklerotycznym mamrotaniem. Chmielewskiemu się udaje, na kilku narracyjnych strunach (linia Marchlewskiego/Jana Pawła II, linia Królewskiej, Trakt Królewski, tory na Siedlce i Rembertów, Beskid, Bałtyk) gra te same, ciągle tak samo przejmujące akordy (tak, jak ciągle przejmuje nas fraza Coltrane’a albo proste „C a F G” Cohena); wciąż i wciąż, jakby ktoś z uporem klikał skręconą przeciwnie do biegu wskazówek zegara strzałkę, pojawiającą się w lewym dolnym kącie klipów Youtube’a, czyli komendę „odtwórz jeszcze raz”. Prostota tych scen: zapis chłodu blaszanych siedzeń w tramwaju starego typu, aluminiowego wieczka jogurtu, grzechotu betoniarki, skry na opróżnionej małpce cytrynowki. Ile trzeba terminować, u Czechowa, u Flannery O’Connor, i może jeszcze u Kornela Filipowicza, żeby pisać z taką prostotą?

Przywykliśmy już, że leitmotiwem, granym na każdym z instrumentów, po jakie sięga Chmielewski – czy będzie to relacja w pierwszej osobie z wyprawy z dzieckiem do lasu, krótka opowieść o miłości i śmierci Renaty, kasjerki z marketu, zapis peregrynacji flâneura z Mirowa, nie z Montmartre’u – będzie doznanie utraty, odejścia, lub może po prostu –

braku pełni. „Nastrój – by przytoczyć zdanie z powieści Antoniego Libery – nostalgii i żalu z powodu rozstania z kimś, czekania na jakąś wiadomość, od której wiele zależy, i zawodu, goryczy, gdy wreszcie przychodzi – zła”. To jedno nie zmienia się u Chmielewskiego nigdy: świat małych, konkretnych, objawionych na nowo przez spojrzenie pisarza przedmiotów i sytuacji – i otwierająca się przestrzeń braku, świadomość przeminięcia, odejścia, śmierci: to szczerbinka, przez którą składa się do pisarskiego celu.

Ale jeśli tak, co jest strzelecką muszką? Chmielewski, historyk, często odwołuje się do przeszłości, obecnej o krok, pobrzękującej: nie tylko utraconej młodości swoich bohaterów, ale przeszłości już skodyfikowanej i oficjalnej, do Powstania i Zagłady, uniesień lat 80. i „realizmu” kolejnej dekady, patroli jak z Chełmońskiego, ba, nawet Chin z czasów powstania bokserów. To było u niego stale obecne; ale dopiero w „Obcym diable” uderzyło mnie, jak łatwo w tej prozie o wędrówkę między różnymi czasami. Błogosławiona Aniela Salawa przychodzi w snach do niekochanej nastolatki, starsza pani spędzająca wakacje na Mierzei Wiślanej trafia do zasypanej w XVIII wieku przez wydmy wioski, a udręczony depresją Kacper spotyka przyjaciół z młodości, Florensa i Geerta. Trzeba chwilę posiedzieć nad opowiadaniem „Deventer”, żeby zrozumieć, że mentor i opiekun Kacpra to Geert Groote - założyciel kręgu Braci Wspólnego Życia, twórca devotio moderna, która tak przeorała późnośredniowieczne Niderlandy i dała chrześcijaństwu Tomasza à Kempis.

Nie, pisząc o „wędrówce między czasami” nie myślę o jakichś zgranych przez dziesięciolecia konceptach fantastyki naukowej. Czytając „Obcego diabła” mocniej niż dotąd zdałem sobie sprawę, że brakującą w mojej lekturze Chmielewskiego muszką strzelecką, rozwiązaniem,

pozwalającym połączyć epifanijski stosunek do małych, prostych bytów wokół nas oraz doświadczenie utraty, które nie opuszcza jego bohaterów, jest przekonanie – nigdy w tej prozie nie wyrażane wprost, czuję niemal, jakbym zdradzał sekret, choć pewnie uważniejsi ode mnie czytelnicy dostrzegli to od dawna – o istnieniu Wiecznym Teraz, w którym zawieszony jest wszystko, co zdarzyło się, dzieje i zdarzy: zaśnieżony Ogród Saski i lessowe ścieżki Szantungu, którymi wędrował ojciec Józef Freinademetz, wyniesiony na ołtarze werbista. Gertrud von Le Fort, Edyta Stein i Mania, giganciara odchodząca na gangrenę na bocznicach Dworca Zachodniego to siostry, może przyjaciółki, tańczące jak trzy gracje u Boticellego. To wszystko dzieje się obok siebie – nie absurdalnie stłoczone, niczym na dwóch kliszach wywołanych na jednej odbitce, lecz po sąsiedzku, w przestrzeni gościnnej tak, że zmieściłaby i świętych obcowanie. Wszystko dzieje się w tej prozie jednocześnie, wczorajsza młodość, dzisiejszy żal za nią i jutrzejsze spotkanie. „Przyjechałeś już? Jesteś? No to dobrze”.

**Wojciech Chmielewski, „Obcy diabeł. 31 opowiadań”, PIW,  
Warszawa 2023**

\*\*\*

**Centurie sarmackie**

„Setnik”? Dla większości – dowódca stuosobowego oddziału, już to w armii rzymskiej, już to w piechocie wybranieckiej. Ktoś pamiętać jeszcze może „Centurie” Thomasa Traherne’a, przekładane i przez Miłosza, i przez Andrzeja Sosnowskiego. Ale był jeszcze „Setnik [hekatontas] pisarzy polskich”, wydany w początkach XVII wieku we Frankfurcie i w Wenecji przez Szymona Starowolskiego – i to on stał się inspiracją dla znawcy dziejów nowożytnej Rzeczypospolitej, prof. Henryka Litwina.

„Setnik białogłów i mężów sarmackich – statystów, wojowników, pisarzy i gospodarzy, ku nauce i pożytkowi zebrany” już tytułem, parafrazującym te sprzed 400 lat, obiecuje lekkość. Jest ona obecna i w podtytułach not biograficznych, streszczających paradoksalny czasem, wedle najlepszych wzorców poetyki baroku, bieg żywota bohaterów („Mikołaj Pac – biskup heretyk”, „Andrzej Lubieniecki – ariański Sarmata bez Sarmacji”), i w samej treści not, powołujących się na źródła i opracowania, lecz zarazem żywych i zwięzłych niczym *cv* mające zapewnić karierę na dworze Władysława IV. Całość – to zapierająca dech w piersiach panorama wielonarodowej i wielowyznaniowej elity politycznej Rzeczypospolitej stu lat z okładem – w większości od Zygmunta Augusta i pierwszych bezkrólewii po schyłek epoki Wazów (ostatni z setnika, Jan Kazimierz Denhoff i Anna Zbąska, to już niemal czasy saskie). Niezwykła to tkanina (i cóż się dziwić, skoro, jak chciał Jacek Kaczmarski „nici Turczyn dostarczył, Niemiec dodał warsztat i kraft”, a „Włoch łacińskie sentencje wplótł w tkaninę cierpliwą, / Estetyczny z cyrylicą wywołując tym zgrzyt”?). Obok siebie stoją w niej „Korniaktowie – Sarmaci z Grecji”, „Krzysztof

Mikołaj Dorohostajski – ewangelicki bohater zdobycia Smoleńska” oraz „Anna z Chodkiewiczów Korecka – bohaterka »prawosławnej kontrreformacji«. I jeszcze 97 bohaterów równie nieoczywistych.

Oczywiście – można czytać te „żywoty Sarmatów” (w większości znane dotąd wyłącznie specjalistom; do bardziej znanych należą matka Magdalena Mortęska, Jan Wejher czy Łukasz Opaliński) jako rodzaj „panoramy prozopograficznej”, z tym zastrzeżeniem, że kryterium doboru była dla autora raczej wyrazistość losu i zasługi dla kraju niż „reprezentatywność”. Jest to również dzięki temu świetna panorama epoki, napisana według innego niż zwykle klucza, nie jako dzieje konfliktu zbrojnego czy panowania dynastii.

Ale też, zwłaszcza w tych dniach, można czytać te budujące portrety ze skutkiem nieco bardziej gorzkim. Można je czytać – skoro przywołany już został Kaczmarek – w trybie „z XVI (i XVII)-wiecznym portretem rozmowy”. „Patrz na nas jak uważasz, pyszny szalawilo, / Jest ci czego zazdrościć, jest i za co karcieć. / Choć dawno już cię nie ma – cennie ci się żyło, / A ci, co się cenili – byli tego warci – śpiewał poeta. I wiadomo, ile byli warci Herbutowie, Wejherowie, Ostrorogowie, Sarbiewscy: dyplomaci, kaznodzieje, wojewodowie, opaci.

Wspaniali. A teraz porzućmy na chwilę lojalności naszej zimnej wojny domowej (tak, jakby było to jeszcze możliwe) i pomyślmy nad kształtem możliwego „Setnika białogłów i mężów III RP – statystów, wojowników, pisarzy i gospodarzy”. Jak wyglądałaby zestawiona przez nas setka?

**Henryk Litwin, „Setnik białogłów i mężów sarmackich – statystów, wojowników, pisarzy i gospodarzy, ku nauce i pożytkowi zebrany”, PIW, 2023**

*Wojciech Stanisławski*

*Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa  
Narodowego pochodzących z Funduszu Promocji Kultury*



Ministerstwo Kultury  
i Dziedzictwa Narodowego

---